



Materiał przygotowany przez **Rzeczpospolita. Plus Minus**

Autor: **Dr Paweł Ukielski, Wicedyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego**

### **WALKA JEST RYZKIEM**

***Powstanie Warszawskie jest jednym z najważniejszych wydarzeń w naszych dziejach w XX wieku. Można je odczytywać na trzech płaszczyznach – lokalnej, krajowej i międzynarodowej. Na każdej z nich można odkrywać jego wyjątkowość.***

Dyskusja poświęcona celowości podjętej decyzji, a także jego sensowi i znaczeniu, zarówno w bliskiej, jak i dalszej perspektywie czasowej, pozostaje wciąż żywym tematem w polskiej debacie publicznej.

Pierwszą jest perspektywa warszawska, lokalna, z której jawi się ono jako najistotniejszy element tożsamości miasta. Ponad 150 tysięcy mieszkańców miasta straciło życie, zaś pozostałych z niego wypędzono. Miasto zostało niemal zrównane z ziemią. To właśnie wówczas, w 1944 roku, z powierzchni ziemi zniknęła jedna Warszawa, na której miejscu pojawiła się po wojnie druga, całkiem inna. Powstanie łączy obie Warszawy, stając się elementem kluczowym dla zrozumienia współczesnej stolicy Polski.

Drugim poziomem rozumienia Powstania jest perspektywa ogólnopolska. Część Warszawy przez te dwa miesiące była wolną Polską z legalnymi władzami, administracją, armią i wszystkimi atrybutami państwowości. Powstańcza Warszawa była Rzeczpospolitą, niedoszłą III RP, która mogłaby powstać po wojnie, gdyby totalitarny plan Stalina nie udaremnił tej szansy. Co więcej, owa Rzeczpospolita była państwem nowoczesnym i demokratycznym – w ekstremalnych warunkach ciężkiej bitwy miejskiej wydano dwa „Dzienniki Ustaw”, tworzące ramy prawne dla krajowych władz cywilnych oraz przygotowujące podstawy prawa wolnego państwa po wojnie.

Trzecia płaszczyzna ukazuje najszerszą formułę percepcji Powstania – pozwalającą zrozumieć historię II wojny światowej oraz dzieje XX wieku w Europie. Najbardziej bezpośrednio ukazuje bowiem sytuację całej Europy Środkowej pod koniec wojny – sytuację, w której uniknięcie totalitarnego reżimu było niemożliwe. Na przykładzie Powstania Warszawskiego widać również, że w wojnie udział brały trzy strony, a nie jak zwykle się uważać (zwłaszcza na Zachodzie) – dwie (dobro i zło). W rzeczywistości Sowieci dopiero po niemieckiej agresji w 1941 r. weszli w skład koalicji antyhitlerowskiej, zaś ich cele nigdy nie były tożsame z celami aliantów zachodnich. Najdotkliwiej ten fakt odczuły kraje środkowoeuropejskie, inkorporowane bądź zsovietyzowane przy pozostawieniu formalnej niepodległości. Kulminacyjnym dowodem sowieckich intencji, nie pozostawiającym jakichkolwiek złudzeń, było pozostawienie Powstania bez pomocy.

Trudno się zatem dziwić, że tak istotne i złożone wydarzenie, które dotknęło setki tysięcy ludzi, do dziś budzi gorące emocje i żywe dyskusje i polemiki. W dyskursie tym udział biorą specjaliści – historycy, wojskowi, politolodowie czy socjologowie. W sprawie sensu Powstania głos zabierali również najważniejsi polscy literaci, intelektualiści, przywódcy polityczni i duchowi czy publicyści. Spór ten nierzadko przybiera niezwykle emocjonalny charakter, zaś dyskutantom, przekonanym o swoich racjach czasem brakuje umiaru w głoszeniu swoich sądów.

Faktyczny spór o Powstanie rozpoczął się jeszcze przed jego wybuchem. Ostatnie dni lipca 1944 r. w Komendzie Głównej AK były czasem niezwykle gorących dyskusji, choć zasadnicze pytanie nie brzmiało „czy?” tylko „kiedy?”. Obok zwolenników jak najrychlejszego wybuchu Powstania, obawiających się przegapienia odpowiedniej chwili (należeli do nich gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” oraz płk Jan Rzepecki „Prezes”), w dyskusji udział brali oficerowie znacznie wyżej oceniający ryzyko przedwczesnego uderzenia na siły niemieckie (jak np. płk Kazimierz Iranek-Osmecki „Heller”). Najostrożniejszy wydawał się płk Janusz Bokszczanin „Sęk”, twierdzący: „ja ich [Sowietów] znam, oni nie przybędą, pozostawią nas samych Niemcom”, a także „Dopóki Rosjanie nie położą ognia artyleryjskiego na miasto na lewym brzegu Wisły, nie wolno nam się ruszyć!”.

Najpełniejszy obraz sytuacji miał słynny „Kurier z Warszawy”, Jan Nowak-Jeziorański, który do stolicy przybył z misją poinformowania władz w kraju o sytuacji międzynarodowej i o braku szans na wsparcie Powstania przez zachodnich aliantów. Jak sam wspominał, 29 lipca po spotkaniu w Komendzie Głównej AK, zrozumiał, że jego misja jest spóźniona, a decyzja zapadła, pozostaje jedynie pytanie, kiedy Powstanie ma wybuchnąć. Dzień później usłyszał od Delegata Rządu na Kraj, Jana Stanisława Jankowskiego plastyczne porównanie AK w stolicy z człowiekiem przez pięć lat rozpędzającym się do skoku przez mur. Jankowski twierdził, że w takim momencie nie można wydać komendy „stop!” na krok przed murem, bo człowiek ten nie wyhamuje i rozbije się. W takiej sytuacji według niego było szykujące się do Powstania dowództwo AK, które nie mogło szkolonej przez lata młodej armii nakazać powstrzymania się od walki.

To właśnie Nowak miał zatem informacje z obu stron – zarówno od władz polskich na uchodźstwie, jak i z Warszawy. Zdawał sobie zatem sprawę, że liczenie na pomoc z zachodu jest złudne, jednocześnie jednak zrozumiał, że walka była konieczna. W kolejnych latach wielokrotnie dawał temu wyraz, przy okazji kolejnych rocznic mówiąc i pisząc o tym w mediach emigracyjnych.

Po wybuchu Powstania w samej Warszawie oczywiście skończyły się wszelkie spory, zaś udział w nim wzięli również przedstawiciele środowisk sceptycznie lub wręcz krytycznie odnoszących się do planu włączenia Warszawy do akcji „Burza” i rozpoczęcia walki. Otwarta krytyka pojawiła się natomiast na uchodźstwie, gdzie głównym jej wyrazicielem był gen. Władysław Anders (sam nota bene krytykowany w niektórych kręgach za olbrzymie straty w bitwie pod Monte Cassino), który 18 sierpnia pisał: „Nikt nie miał u nas złudzenia, żeby bolszewicy pomimo ciągłych zapowiedzi pomogli Stolicy. W tych warunkach Stolica pomimo bezprzykładnego w historii bohaterstwa z góry skazana jest na zagładę. Wywołanie powstania uważamy za ciężką zbrodnię i pytamy się, kto ponosi za to odpowiedzialność?”

Słowa te padły już po zakończeniu wizyty premiera Stanisława Mikołajczyka w Moskwie oraz niepozostawiających żadnych wątpliwości co do sowieckich intencji deklaracji Stalina. Sowiecki dyktator podkreślał, że Powstanie zostało wywołane bez uzgodnienia z Armią Czerwoną i ma antysowiecki charakter. Stalin twierdził, że wojsko sowieckie nie jest w stanie pomóc walczącym: „Liczyłem się z tym, że już 6 sierpnia wkroczymy do Warszawy, ale to nie udało się. [...] Szkoda mi waszych ludzi, którzy stanęli przedwcześnie do walki w Warszawie”. Kreml całkowicie i celowo bagatelizował siłę Armii Krajowej – 5 sierpnia Stalin pisał do Churchilla: „Myślę, że zakomunikowane Panu przez Polaków informacje są bardzo przesadzone i nie budzą zaufania. [...] Armia Krajowa Polaków składa się z kilku oddziałów, które niestudnie nazywają siebie dywizjami. Nie mają one ani artylerii, ani lotnictwa ani czołgów. Nie wyobrażam sobie, jak takie oddziały mogą zdobyć Warszawę”. W kolejnych dniach dyktator jeszcze zaostrzył retorykę, zapowiadając, że nie chce mieć nic wspólnego z warszawską awanturą.

Podobne stanowisko przyjęli polscy komuniści, którzy jednak próbowali też przekonywać, że główną siłą biorącą udział w Powstaniu jest Armia Ludowa, zaś rola Armii Krajowej - niewielka. Szczytem cynizmu wykazała się Wanda Wasilewska, która 6 sierpnia w rozmowie z premierem Stanisławem Mikołajczykiem w Moskwie stwierdziła: „Panowie są źle poinformowani i to celowo, o tym, co się dzieje w kraju. Pan mówi o walce, która się zaczęła 1 sierpnia w Warszawie. Tu są ludzie, którzy wyszli 4 sierpnia z Warszawy i mówią, że tam był zupełny spokój”.

Upadek Powstania po dwóch miesiącach ciężkich walk, około 150 tysięcy ofiar (choć liczba ta jest przybliżona, początkowe szacunki wskazywały na większą) oraz zrujnowane miasto, spowodowały, że dyskusja nad celowością wybuchu Powstania rozgorzała na nowo. Co więcej, nieudana próba ocalenia niepodległości kraju spowodowała, że jedynie na emigracji możliwa była nieskrępowana debata. W Polsce totalitarny reżim komunistyczny nie chciał i

nie mógł do niej dopuścić, gdyż musiałby zgodzić się na ujawnienie pełnej prawdy o Powstaniu, co z kolei ukazałoby jego całkowity brak legitymacji do rządzenia.

Oczywiście, komunistyczna propaganda miała różne fazy i momenty. W początkowym okresie, zwłaszcza w latach 1944-1956 przedstawiciele reżimu starali się wmówić społeczeństwu, że AK kolaborowała z Niemcami, zaś jej żołnierze przedstawiani byli nieraz jako bandyci. Nie przypadkiem wówczas prześladowania spotykały licznych przedstawicieli tych środowisk, z najbardziej spektakularną akcją wymierzoną w żołnierzy batalionu „Zośka” na czele. Jednocześnie jednak komuniści zdawali sobie sprawę, że nie sposób Powstania całkowicie przemilczeć, a część z nich miała też świadomość, że zbyt prymitywna i niewiarygodna propaganda może przynieść więcej szkody niż pożytku. Stąd po 1956 r. równoległe pojawiła się interpretacja bardziej wysublimowana, która w różnej postaci prezentowana była do 1989 roku. Sformułował ją jeszcze w 1945 roku I Sekretarz KC PPR, Władysław Gomułka, który zarysował linię podziału między „bohaterskimi szeregowymi Powstańcami” a dowództwem. Temu ostatniemu zarzucił chęć przywrócenia stosunków sprzed wojny, próbę wzniesienia wojny domowej i obalenia PKWN, dążenie do zaostrzenia stosunków polsko-sowieckich, osłabianie jedności alianckiej oraz prowadzenie kampanii propagandowej przeciwko „siłom demokracji”. Interpretacja ta pozostawała główną oficjalną linią narracyjną po okresie stalinizmu, choć również po 1956 roku pojawiały się chwile większej lub mniejszej swobody wypowiedzi, łączące się z kolejnymi etapami „odwilży” i „dokręcania śruby”. Rola Sowietów i państwowotwórcza strona Powstania cały czas wszakże oficjalnie pozostawały tematami tabu.

W tej sytuacji trudno było o swobodę dyskusji w Polsce – z jednej strony cenzura nie dopuszczała głosów, które mogłyby naruszyć podstawy oficjalnej propagandy, z drugiej zaś wszelka krytyka była utrudniona ze względów moralnych. Krytycy narażali się na zarzut „kolaboracji z reżimem” – ponieważ „wszyscy porządni ludzie” nie wierzyli oficjalnej propagandzie, „musieli” być zwolennikami Powstania. Oczywiście, jak od każdej reguły, również w tym przypadku znaleźć można wyjątki – jeszcze w październiku 1944 roku w Krakowie Józef Mackiewicz opublikował krytyczną broszurę „Optymizm nie zastąpi nam Polski”, później zaś bodaj najbardziej znaną pozostaje krytyka sformułowana przez Stefana Kisielewskiego. Nie zmienia to jednak faktu, że równoległe z propagandą w społeczeństwie żywa była całkowicie odmienna pamięć Powstania. Mit wielkiej walki o wolność, niepodległość i demokratyczne nowoczesne państwo po wojnie pozostawał żywy w relacjach rodzinnych, od lat siedemdziesiątych zaś wzmacniany był poprzez publikacje drugiego obiegu.

Najbardziej ożywiona i gorąca debata toczyła się na emigracji, gdzie pozostało wielu żołnierzy, dowódców i polityków, nie mogących powrócić do zniewolonego kraju. Dyskurs ten toczył się na kilku głównych płaszczyznach, od personalnego sporu o przesłanki do podjęcia decyzji o jego wybuchu, poprzez konflikt o wektory polskiej polityki i dyplomacji w czasie wojny, aż po najbardziej fundamentalny – o polską tradycję i historię widziane poprzez

doświadczenie Powstania. Na dwóch pierwszych polach ścierały się racje głównych aktorów tego dramatu przebywających w sierpniu i wrześniu 1944 r. w Warszawie i Londynie, podejmujących strategiczne decyzje. Można zauważyć, że przewagę mieli w tym wypadku krytycy – wywodzący się głównie z londyńskich kręgów decyzyjnych, którzy nie byli w lipcu 1944 roku w stolicy Polski. Najbardziej zagorzałym krytykiem pozostawał gen. Anders, zaś krytyka polityczna wywodziła się przede wszystkim z kręgów piłsudczykowskich (jak gen. Kazimierz Sosnkowski, Władysław Pobóg-Malinowski,) oraz endeckich (m.in. Jędrzej Giertych, Wojciech Wasutyński oraz Jan Ostoja Małachowski). Decyzji bronili zaś głównie jej autorzy, którzy na uchodźstwie pozostali – jak gen. Tadeusz Bór-Komorowski i gen. Antoni Chruściel.

Najszerze kręgi zatoczył jednak spór na trzecim, najwyższym poziomie interpretacyjnym, gdzie po obu stronach stawali najwybitniejsi intelektualiści, publicyści, literaci i filozofowie. Wśród czołowych polemistów wymienić należy z pewnością po stronie krytyków środowisko paryskiej „Kultury” (Jerzy Giedroyc, Juliusz Mieroszewski), Stanisława Cata-Mackiewicza, Józefa Łobodowskiego czy Melchiora Wańkowicza, po stronie obrońców natomiast Jana Bielatowicza, ks. Kazimierza Kantaka czy Tymona Terleckiego.

Podstawowy poziom sporu dotyczył samej decyzji o rozpoczęciu walk w Warszawie. Jej przeciwnicy dysponowali potężnym arsenałem argumentów – liczba ofiar, wypędzeni mieszkańcy stolicy po upadku Powstania oraz zrujnowane miasto – trudno było zaprzeczyć mocy tych argumentów. Co więcej, krytycy podkreślali, że ta gigantyczna ofiara nie przyniosła żadnej korzyści – nie tylko nie osiągnięto celu podstawowego, jakim było uratowanie niepodległości, to jeszcze utracony został główny ośrodek intelektualny, kulturalny i polityczny, źródło oporu wobec niemieckiego zniewolenia, tak potrzebne w obliczu zniewolenia sowieckiego. Z największą mocą podkreślano, że stracony został też kwiat młodej inteligencji, owe brylanty, którymi strzelano do wroga.

Obrońcy słuszności decyzji o wybuchu Powstania twierdzili, że teza o nieuchronności klęski jest nieuzasadniona. Podkreślali, że plany militarne przygotowano poprawnie, co potwierdzały oceny dokonywane w tym samym czasie przez niemieckie dowództwo. Czynnikiem, który zaburzył te kalkulacje była trudna do przewidzenia i bezsensowna z militarne punktu widzenia decyzja Związku Sowieckiego o wstrzymaniu ofensywy na kolejnych kilka miesięcy. Według takiej interpretacji podjęte zostało duże ryzyko, jednak konieczne, gdyż jedynym innym rozwiązaniem wobec niego była całkowita kapitulacja wobec wkraczającej Armii Czerwonej, ergo – zgoda na zniewolenie. Założenia czynione były ponadto na podstawie niepełnych danych, zaś wszelkie oceny post factum nie biorą tego elementu pod uwagę. Najwięźlej tę linię argumentacji ujął w dwa dni po podpisaniu aktu kapitulacyjnego Aleksander Kamiński: „Walka jest ryzykiem. Stąd też nie zawsze może się kończyć zwycięstwem”.

Z debatą o wybuchu Powstania nierozzerwalnie związana była dyskusja nad polską polityką prowadzoną podczas II wojny światowej. Obrońcy decyzji o rozpoczęciu Powstania

argumentowali, że jego wybuch był logiczną konsekwencją wcześniejszych 5 lat od chwili powołania do życia Polskiego Państwa Podziemnego. Ta linia argumentacji szła tropem na gorąco wypowiedzianego przez Jankowskiego porównania z rozpędzonym człowiekiem szykującym się do skoku. Negowanie koncepcji Powstania Warszawskiego można byłoby w myśl tej argumentacji kontynuować i zgodnie z taką logiką cofając się w czasie z analizą decyzji władz RP zakwestionować całość polskiej polityki od 1939 r. i podjęcie walki z Hitlerem.

O ile część krytyków przychyliła się do takiej analizy i twierdziła, że w 1939 roku faktycznie należało się porozumieć z Hitlerem, główny nurt krytyczny raczej twierdził, że nie można porównywać sytuacji w 1939 i 1944 roku. W myśl tej argumentacji istotne było, że w 1939 roku istniał rząd, armia, polska była suwerennym państwem z wszystkimi atrybutami i związanym sojuszami. To powodowało, że ryzyko militarne należy uznać – mimo porażki – za racjonalnie skalkulowane. W 1944 roku było inaczej – wobec ustaleń konferencji w Teheranie i klęski akcji „Burza” należało uznać, że sprawa polska była już przegrana.

Ta argumentacja spotykała się z kolei z ripostą idącą w dwóch kierunkach. Podstawowa linia obrony Powstania podkreślała, że naród jest organizmem bardzo złożonym i nie jest możliwa nagła i radykalna zmiana funkcjonowania – skoro w 1939 roku podjęto decyzję o walce na śmierć i życie, nie była możliwa jej raptowna korekta w pięć lat później. Po drugie zaś, skoro irracjonalną była decyzja o walce w Warszawie w sierpniu i wrześniu 1944 r., ponieważ „sprawa polska była przegrana”, to nie mniej bezsensowne mogą się jawić wysiłki polskich żołnierzy pod Monte Cassino, w Normandii czy pod Arnhem, skoro wówczas także już nie walczyli „o swoją sprawę”.

Teza o nieuchronności wybuchu Powstania pojawiała się w tej debacie zresztą wielokrotnie, co więcej wykorzystywana była przez obie strony sporu. Z jednej, zwolennicy podkreślali, że decyzja o kontynuacji walki po porażce we wrześniu 1939 roku wprost prowadziła do kolejnej, podjętej w lipcu 1944 roku o podjęciu walki powstańczej w Warszawie.

Argumentację tę wzmacniano przywoływaniem atmosfery stolicy po pięciu latach brutalnej okupacji i dążeniem do odwetu, które mogłoby znaleźć ujście niekontrolowane, gdyby nie Powstanie. Ten sam argument wykorzystywany był także przez krytyków Powstania – twierdzili oni, że o ile faktycznie jego wybuch był nieunikniony, to świadczy to jedynie o niedojrzałości społeczeństwa i nadmiernie emocjonalnym stosunku do polityki.

Ta perspektywa przenosi nas na najwyższy poziom debaty wokół Powstania – dyskursu o polskiej tradycji narodowej i historii. Główną linię sporu wyznaczały romantyzm i tradycja insurekcyjna. W tej interpretacji Powstanie Warszawskie było ich zwieńczeniem, zaś jedynie romantyzm pozwalał odnaleźć sens w tragicznym wydarzeniu. W ten sposób rodowód Powstania definiowali m.in. Stefania Zahorska: „Nie byłoby powstania warszawskiego, gdyby nie było poezji romantycznej i literatury powstaniowej”, czy Stanisław Podlewski: „Jesteśmy zdania, że [Powstanie] było szaleństwem, które ma swój rodowód, linię genealogiczną w szarzy szwoleżerów pod Somosierrą, w czynie ułanów pod Rokitem...” Ofiara poniesiona

przez naród nie była w tej logice daremna – miała dać moralną siłę na nadchodzące lata niewoli. Jak pisał Jan Bielatowicz: „Lecz na miły Bóg, nie mówmy o winie! Wszak Powstanie było nie tylko dziejową koniecznością między dwiema niewolami, ale bodaj najwspanialszym czynem w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, płonąca pochodnią, zapaloną przez naród na długie lata niewoli”.

Z kolei dla krytyków Powstania, i szerzej, tradycji insurekcyjnej, romantyzm był szkołą politycznej nieodpowiedzialności. Według nich polskie powstania były dowodem na brak politycznego realizmu i długofalowej dbałości o narodowe interesy przy użyciu innych metod niż walka zbrojna. Wychodząc z takiego założenia wnioskowali, że konieczne jest przekształcenie polskiej tożsamości narodowej, zastępując ją postawą bardziej pozytywistyczną, kładącą nacisk na rozwój cywilizacyjny społeczeństwa i unikanie nieproporcjonalnych strat.

W pewien sposób Powstanie Warszawskie spełniło rolę hamulca dla kolejnych zrywów. Powstanie poznańskie w 1956 roku nie przekształciło się w ogólnopolską konfrontację, zaś kolejne pokolenie podjęło próbę fascynującej syntezy obu tradycji – romantycznej i realistycznej, poprzez „samoograniczającą się rewolucję” pierwszej „Solidarności”. O ile jej przywódcy byli realistami i przeprowadzili pierwsze w dziejach Polski bezkrwawe powstanie, to zacytn pod nie położył papież Jan Paweł II podczas swej pierwszej pielgrzymki do kraju w 1979 r. W słynnej homilii na pl. Zwycięstwa w Warszawie mówił: „Nie sposób zrozumieć tego narodu, który miał przeszłość tak wspaniałą, ale zarazem tak straszliwie trudną – bez Chrystusa. Nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, stolicy Polski, która w roku 1944 zdecydowała się na nierówną walkę z najeźdźcą, na walkę, w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami legł również Chrystus-Zbawiciel ze swoim krzyżem sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu. Nie sposób zrozumieć dziejów Polski od Stanisława na Skalce do Maksymiliana Kolbe w Oświęcimiu, jeśli się nie przyłoży do nich tego jeszcze jednego i tego podstawowego kryterium, któremu na imię Jezus Chrystus”. Połączenie obu tradycji, romantycznej i pozytywistycznej w 1989 r. doprowadziło do zwycięstwa – odzyskania wolności.